

DLATEGO TAKŻE POTEPIAMY!

Albatrosy niosą zabójczą promieniotwórczość

Przeprowadzone wiosną ubiegłego roku na Pacyfiku doświadczenia z bombą atomową i wodorową w rejonie Wysp Marshalla wykazały, że skutki wybuchów przynoszą za sobą nie tylko śmierć bezpośrednią, lecz co więcej — następstwa owych wybuchów pociągają za sobą mogą dalsze i to zgoła nieobliczalne skutki. Jak wie my już z doniesień prasowych, operujące w rejonie miejsca wybuchów japońskie flotylle rybackie pokryły zostały opadającym pyłem radioaktywnym, narażającym rybaków na straszliwą śmierć, a ładunki ryb oraz same statki na zgubne działanie promieni radioaktywnych. Wyławdowania radioaktywne spowodowały z jednej strony stratę wielu tysięcy ton białka rybnego, a z drugiej — niemożność dalszego używania sprzętu połowowego.

Ładunki ryb, złowione przez kutry japońskie, zostały po powrocie do portów macierzystych wrzucone z powrotem do morza, czyli „zniszczone”. A przecież, jak udowodnił ostatnio biologowie, ryby złowione w strefie radioaktywnej uległy porażeniu z zewnątrz a jednocześnie w swoim wnętrzu nosiły już znamiona porażenia. Innymi słowy, substancje radioaktywne dostały się do ich organizmów, na skutek spożywania przez nie innych zwierzęcych organizmów morskich, dotkniętych już przedtem radioaktywnością. Wiadomo przecież, że oceany posiadają prądy morskie, które unoszą za sobą liczne drobne organizmy, jak plankton zwierzęcy bądź roślinny.

Również wędrujące ryby mogą przenosić w sobie cząstki radioaktywne. Tak np. szlaki migracyjne tuńczyka (najbardziej rybą Pacyfiku) rozciągają się na obszarach tysięcy kilometrów.

Niezwykle znamienne przy czynki przynosi w tej sprawie amerykańskie pismo „Fishing News” z dnia 4 kwietnia ub. roku, pisząc m. in. o pewnym okazie tuńczyka, którego w sierpniu 1952 roku wpuszczono do morza wraz ze znacznikiem kontrolnym u wybrzeży Kalifornii. Ten sam okaz tuńczyka został po upływie jednego roku (324 dni!) wyłowiony przez rybaków u wybrzeży Japonii, czyli w odległości 8.000 km od miejsca wypuszczenia go do Pacyfiku. Praktycznie biorąc, istnieją więc realne podstawy do przyjęcia twierdzenia o przenoszeniu przez wędrujące organizmy i ryby śmiertelnych cząstek radioaktywnych.

Nauka wspomina o wielu gatunkach ptactwa morskiego dokonywającego przelotów na dalekie kontynenty rozdzielone wodami morskimi. Wszystkim zoologom znany jest np. fakt, że Wyspy Marshalla należą do ulubionych miejsc przebywania milionowych stad jaskółek morskich, mew, fregat, albatrosów oraz innych gatunków skrzydlatych mieszkających troniów, które gnieźdzą się w tym rejonie. Tu również znajdują się naturalne stacje przystankowe dla milionowych stad ptactwa przybylego z dalekich kontynentów Północy, skąd podejmują dalsze wędrówki. Faktem jest, że ogromne ilości ptactwa uległy zagładzie na skutek powtarzanych wielokrotnie prób z radioaktywnymi bombami. Jednakże przeważająca ilość wspomnianych

ptaków zdołała opuścić niebezpieczną strefę, unosząc w swych organizmach cząstki radioaktywne. Dodajmy, że podobnie jak wspomniane już tuńczyki również i one skazane były na pobieranie pokarmu złożonego z drobnych zwierzątek morskich (raczki, ślimaki, skorupiaki, mięczaki, ryby itp.), przeżywających dłużej albo krócej w strefie radioaktywizowanej. Z kolei pokarm ów, przetwarzony przez ptactwo, wydzielony został jako guano, siejąc dalej „zarazę atomową”. Albatrosy np. potrafią w ciągu niewielu dni odbyć rejs powietrzny od Filipin aż do wybrzeży Peru względnie do Cieśniny Beringa aż do Nowej Zelandii. Wiadomo poza tym, że na Wyspach Hawajskich (Laysan) istnieje szeroko rozwinięty przemysł produkujący mączkę albuminową i to właśnie z jaj albatrosów.

Tak więc istnieje cały łańcuch powiązanych ze sobą i naukowo udowodnionych faktów, które wskazują na drogi i możliwości przenikania względnie przenoszenia zabójczych cząstek radioaktywnych i to nie tylko zwykłą drogą powietrzną. Wprawdzie nie zawsze stopień radioaktywności wspomnianych już organicznych i nieorganicznych elementów może być zabójczy dla człowieka. A jednak wpływy najdrobniejszych nawet cząstek radioaktywnych na roślinność, drobne organizmy zwierzęce, a wreszcie na organizm człowieka bez wątpienia istnieją. Nie zawsze dadzą się dokładnie ustalić, gdyż nieznane są do tej pory następstwa, które ujawnia się, być może, dopiero po wielu latach. Spowodować one jednak mogą skutki w dalszych pokoleniach i to o nieobliczalnych następstwach i rozmiarach.

Dlatego próby tego typu dokonywane przy pomocy bomb atomowych bądź wodorowych przez szalonych polityków i strategów amerykańskich noszą w sobie potencjonalny zarodek śmierci dla organizmów zarówno ludzkich jak i zwierzęcych. Dlatego należy ich potępiać nawet za przeprowadzanie zbrodniczych wodorowych eksperymentów w warunkach zagrażających życiu biologicznemu.

Opr. J. MAKOWSKI

Sukces Ryszarda Daneckiego na uczelni w Moskwie

Przed trzema laty drukowaliśmy w numerze z 24 lutego 1952 roku — „Pamięć o wyzwoleńcu” — „Pamięć o wyzwoleńcu”. Autorem jego był student Instytutu Literackiego w Moskwie — Ryszard Danecki. Od tego czasu już stale współpracowaliśmy z młodym poetą. Pisał on dla „Nowego Świata” nie tylko wiersze, lecz także reportaże z podróży po Związku Radzieckim. Kilka listów czytelników, które napłynęły po wydrukowaniu „notatek z podróży na radziecki Kaukaz” — świadczy, że czytano je z zainteresowaniem, gdyż mówiły o rzeczach nowych, nieznanych przeciętnemu czytelnikowi.

Ostatnio radio przypominało nam o Ryszardzie Daneckim. O toż w ramach audycji „z życia Związku Radzieckiego” w języku polskim (6. IV) nadano reportaż z Instytutu Literackiego im. Gorkiego. Bohaterem pozytywnym był nasz wspólny znajomy ze spalt gazet — bronił on pracy dyplomowej kończącej pięcioletnie studia. Kierownik seminarium prof. Kowalenko



Aby dzieci mogły się wesoło bawić — mówimy wodorowym politykom — „NIGDY!”

Słowami Adama Mickiewicza

Janusz Likowski

„Dzieckiem w kolebce, kto
leć urwał hydrze,
Ten młody zdusi Centaury...”

Odwagi uczy Mickiewicz. Walki ze złem. Precz więc z gnuśnością — czyni muszę przemówić, by nadeszły lata szczęścia dla ludzkości, o jakich nawet wieszczę niełatwo marzyć. Zduśmy więc głowę hydrze, chwytając się wszyscy za ręce... Poznajmy owego Centaury, bądźmy świadomi, przeciw komu kierujemy ostrze naszej woli, wiedźmy — kogo biją miliony podpisów, rosnące jak góra z ziarnek piasku — w miliard.

To nie taka obojętna sprawa, na nie ślimacza postawa trwania w skorupie. Dziś nasz glob jest już za mały, by ktokolwiek mógł żyć w neutralności. Na nie odsuwanie się od sporów. Każdemu człowiekowi grozi amerykańscy Centaury. Szykują zagwie termojądrowe, od których niebo może zapłonąć nad oceanami i kontynentami. Nam nie jest obojętne nawet, czy szaleńcy atlantycki tylko próbują no we typy bomb na archipelagu Wysp Marshalla. Tam bowiem już zrodziła się śmierć radioaktywna — dla zwierząt i ludzi. Atomowy poligon ma pierwszą ofiarę — japońskich rybaków. Podobno nawet eksperzy mentatorzy, pozornie bezpieczni obserwujący detonację z pokładu wojennych statków, zostali groźnie poparzeni promieniotwórczym popiołem. Wywołali eksplozję wodorową, której sami opanować nie potrafili.

To była nauka. Dla całego świata.

...że zapalkę atomową trzeba wyrwać z rąk ludzi pozbawionych etyki i moralności, dla których każdy wybuch oznacza dodatkowe dywidendy z przedsiębiorstw produkujących bomby. Bo przecież na ich miejsce muszą powstać nowe. Do magazynów wojskowych USA. A na tym polega atomowy business Dupont de Nemourów, Mellonów, Morganów, Rockefellerów i pół tuzina dalszych rodzin miliarderskich.

Ich czynimy odpowiedzialnymi. Ich ostrzegamy. Oni doskonale wiedzą przed czym... Dziesięć lat temu rozpoczął się w Norymberdze proces, w czasie którego międzynarodowy sąd reprezentujący ludzkość stworzył nowy termin określający przestępstwo ludobójstwa. Za te zbrodnie odpowiedzialni przywódcy niemieckiego faszyzmu. Nim swoje czyni wykonali — nie byli znani, przynajmniej niektórzy. Dziś znamy nazwiska wszystkich, którzy mogliby zasiąść na ławie oskarżonych. Nie są oni bezkształtną masą, nie wiadomo, z kogo się składają, a konkretną, nieliczną kastą naj-

drapieżniejszych rekinów dolara, handlarzy radioaktywnym unicestwianiem życia.

My — miliardem podpisów tworzymy prawo zabraniające używania broni atomowej, domagające się zniszczenia jej zapasów. I to stanowienie prawa poprzez plebiscyt jest czymś realnym, konkretnym. Nasza wola wymierną potęgą, potrzebną ludzkości.

Ogień atomów może być jednak dobrodziejstwem epoki... Nie przeklinajmy badaczy odkrywających tajemnice rozpadu materii. Są oni na kształt współczesnych Prometeuszów, twórców przyszłego szczęścia naszej planety. Dajmy im tylko potęgę spracowanych rąk i prostych serc, by sprawom człowieka służyli, by szli za przykładem radzieckich fizyków jądrowych, którzy zbudowali pierwszą elektrownię o uranowym napędzie. Gdy ta siła ogarnie świat, czerpać będziemy dobrodziejstwa życia pełnymi garściami. Wtedy to mogą spełnić się słowa Mickiewicza o gwiazdach, które błękit rozjaśnia i rozproszą noc głuchą w krajach ludzkości...

To jest program pozytywny naszej epoki, dla którego warto się trudzić, warto zęby zaciskać, warto się wyrażać i stanowczo opowiedzieć; przeciw wodorowym szaleńcom — za prawdą, dobrem i sprawiedliwością. By nawet neutralnego ślimaka nie poraziły promienie alfa, gamma lub beta, by lawina szybkich neutronów obrała turbiny wielkich elektrowni — a nie zapalała krwawej łuny na horyzoncie ziemskiego globu. Włajmy więc co tchu w piersiach:

„Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są
wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szale,
Razem, młodzi przyjaciele!”

A potem, gdy już wiemy jakiego Centaury wypada zwyciężać, gdy zdołaliśmy zdusić pomniejsze hydrzy, zbierzmy ramie do ramienia i

„Dalej bryło z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż zapleśniałabyś kory,
Zielone przypomnisz lata!”

Powiedzmy sobie — musimy się stać godnymi nadchodzących „zielonych lat”, bo są one trudne jak cała epoka atomowa. Musimy wyrabiać w sobie stanowczość. Hart. Siłę. Dla gigantycznego szczęścia przyszłych pokoleń — i bezpieczeństwa dla nas. Na dzień dzisiejszy.

Anatol Stern

Autobiografia olbrzyma

W dwudziestą piątą rocznicę śmierci rewolucyjnego poety

Jeszcze niewielu pozostało spośród tych, którzy witali Majakowskiego w maju 1927 r. w Warszawie, którzy spędzali z nim długie godziny na rozmowach o człowieku i o poezji... Broniewski, Słonimski, Stawar, Wat, Ważyk, podpisany i malarz Rafałowski — to chyba pełny spis tych ludzi sztuki, którzy na zawsze zachowali wspomnienie odwiedzin genialnego pisarza radzieckiego w naszym kraju. Nie żyje Tuwim, natchniony poeta, który pierwszy przetłumaczył poemat „Obłok w spodniach”, nie żyje Mieczysław Szczuka, jeden z najbardziej twórczych architektów i grafików ówczesnych, redaktor czasopisma lewicowego „Błok”, któremu należy zawdzięczać i niełatwą zaproszenia Majakowskiego do Polski... Oba oni nie opuszczali niemal ani jednego z naszych spotkań z twórcą „Włodzimierza Iljicza Lenina”.

Rok 1927 postanowił Majakowski uczcić nie tylko specjalnie napisanym poematem „Dobrze” i szeregiem wierszy, ale zanieść również i poza granice swej ojczyzny wieść o tym, że świętuje ona dzisiaj tą rocznicę Rewolucji Październikowej. Oto co sprawdziło go do stolice Polski, Francji, Niemiec, Czechosłowacji, Bułgarii. Poetycki trybun ludu wziął na siebie rolę szeregowego agitatora. Tam, gdzie mógł, miał wieczory poetyckie, wygłaszał odczyty, tam, gdzie na przeszkodzie stała mu nienawiść do Kraju Rad, spotykał się z artystami osobliście. Autorka książki „Majakowski w krajach demokracji ludowej” pisze: „Pożabawiony możliwości publicznego wystąpienia w faszystowskiej Polsce, poeta traktował każde spotkanie z pisarzami w Warszawie jako sprawę o wyjątkowym znaczeniu”. Jego przyjazd do nas zbiegł się z szczytami z oddaniem do rąk pierwszego polskiego wyborcu jego utworów, którego spłaty zdążyłem jeszcze jako redaktor wyboru pokazać poecie. Z jakim skupieniem wczynał się w niezrozumiałe dlań słowa tekstów... Z jaką uwagą wsłuchiwał się w przekłady nasze — Broniewskiego, Tuwima, Słonimskiego i innych, czytane mu bądź przez tłumaczy, bądź przeze mnie... Jak nieomylnie wykrywał, po omacku domyślając się znaczenia poszczególnych fragmentów, nieścisłości rytmu... A przy tym nie dając się prosić, czytał stale swoje rzeczy i zmuszał nas do czytania naszych, nie tylko dlatego, że był ciekaw ich treści, ale także dla osłuchania się, aby wniknąć w melodykę bratniego języka.

Był obładowany swymi książkami, które nam rozdawał. Stawały się one poetyckimi relikwiami. Wygląd paru książeczek, jakie otrzymałem od niego, pamiętam do dziś lepiej niż książki, które czytałem przed rokiem. Jedną z nich był poemat o Leninie. Inna, wydana jeszcze w r. 1923, była pierwszym wyborem jego satyr i nosiła tytuł: „Majakowski uśmiecha się. Majakowski się śmieje. Majakowski sztydzi”. Trzy równoległe kolorowe pasy przecinały tę książeczkę i poeta uśmiechał się, śmiał się i sztydził z odziedziczonego w tych kolorowych pasów.

Powierzchniowość poetów bardzo rzadko zazwyczaj uzupełnia ich twórczość. Bardzo rzadko tylko nie odczuwamy rozczarowania, ujrawszy autora wierszy, które kochamy. Inaczej z Majakowskim. Wydawało się, że poeta, podobnie jak bohaterowie jego utworów, z trudem tylko może się pomieścić w wąskich ramach naszej codziennej rzeczywistości. Kolos o barach olbrzyma, o szczęście i pięści boksera, a przy tym natchnionych, palających oczach. Widząc go, rozumiałem się, dlaczego musiał operować w swych poematach, takich jak „Wojna i Pokój” lub „150 000 000” miliona-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Uroda naszych pieśni

...Buczały i pisały dudy, smyczek ze strun skrzypiec strącał skoczną melodię i w jej takt jak barwne motyle kręciły się pary. Długie spódnice fruwały, raz po raz kora tam z par popisała się przed grajkami udanym wiwatem i to wiwatom ułożonym na poczekaniu. Ile śmiechu, wykrzykiwań i — dalej w pełen uroku tan!

Starzy Gubańscy usiedli na ławie pod ścianą i patrzyli. W szybach okien izby pełno dzieci, a także starszych. Przyszli nasyć się muzyką i barwnymi strojami. Co pewien czas gospodyni wyniesie im po kawałku placka. Ale bardziej ścigała ich tu czar pieśni i tańca. Bo to nie tylko wesele, ale pewnego rodzaju dzień pieśni i tańca urządzony u Gubańskich z okazji wesela. Innej przecież artystycznej imprezy we wsi nie było.

Było to przed przeżyciem 25 laty. Ostatnie prawdziwe wiejskie wesele w Babkowicach.

Niemalą też niespodzianką dla piszącego ten artykuł był widok podobnego wesela na popisach eliminacyjnych w Rawiczu. Opiekunowie życia świetlicowego w Zakrzewie — Stachowscy, odwiedzili już głąb pieśni i tańca. Pokazali „Wesele Zakrzewskie” w całej urodzie. Za uratowanie cenego zabytku miejscowego folkloru i za przygotowanie tego widowiska publiczność na groźbą i wykonawców i organizatorów burzą oklasków. A nie jeden ze starszych ludzi rozczulił się. Nie zginiły perły twórczości ludowej. Dziś zaśaśniały pełnym blaskiem.

Co mam siom przypada do gustu?

Przypatrywaliśmy się też pięknym popisom dzieci Szkoły Podstawowej nr 1 w Kościanie na tamtejszych eliminacjach. Czerwieniły się wielkopolskie „jaki”, do taktu tu pały wysokie buty chłopców, a dziewczęta jak kwiaty jaśniały w korowodzie. Niestety — był to tylko jeden z wielu szkolnych regionalnych zespołów na kilkudziesięciu występujących i to w dodatku zespołów nie wiejskich, ale miejskich. Nie widzieliśmy na kościańskich przeglądzie znanego już w całej Polsce zespołu z Kiełczewa (podobno kierowniczką zachorowała), za to Bucza wystawił ze sobą... góralski, a wiele szkół z innych miejscowości (nie tylko z powiatu kościańskiego) — pokazało zespoły „krakowskie”.

A tyle mamy przecież własnych regionów, tyle własnych strojów i to już opracowanych, tyle pieśni i tańców! Wina to duża kochanych ma-



Taki piękny czepek nosiły przed paru dziesiątkami lat kobiety w zachodniej części naszego województwa i na Ziemi Lubuskiej. Nie zginić on zupełnie, zdołać on będzie dziewczęta niektórych naszych zespołów regionalnych.

tek, które uważają, że dziewczęta najładniej w stroju krakowskim, a chłopcy, na przykład, w góralskim. A przecież — czynniki gorsze nasze „szamotulanki” czy „biskupianki”?

Jeśli już jesteśmy przy sprawie stroju, nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Przegląd festiwalowy wykazał, że wiele zespołów ma stroje takie same, a więc spódnice o takich samych kolorach, deseniach, takie same przepaski, kolatki, wstążki, itd. Słowem — jak u wojska, jednolite mundury. A przecież jeśli mamy podtrzymać dawny strój, pamiętać musimy, że dziewczęta jakkolwiek ubierały się podobnie, przecież różnie. Spódnice i inne części stroje różniły się kolorem i ozdobami a nawet w kroju bywały odchylem. I te różnorodności należy zachować, ona bowiem jeszcze bardziej upiększa występ. Za przykład może posłużyć „Mazowsze”, w którym każdy strój dziewczęcy różni się od innych, chociaż

całość jest utrzymana w swoim regionalnym stylu.

Bardziej patrzeć wokół siebie

A teraz repertuar. Prawie wszystkie nasze zespoły regionalne pokazały wianek znanych tańców wielkopolskich. To za mało. Zespołom trzeba sięgnąć do innych, niemniej pięknych naszych utworów tanecznych. Przykładem niech będzie zespół z Poniatowa (powiat Turek), który ożywił już swój region goszcząco. Harcerze w Koninie pokazali



Na zdjęciu zespół taneczny Szkoły Podstawowej nr 1 w Kościanie w strojach regionalnych, w których wystąpił na eliminacjach.

Gdyby ktoś chciał mi wmówić, że nasza prowincja nie kryje w sobie swobodnego uroku, klóciłbym się do upadłego. Bo przypomnijmy sobie choćby taki Rycywoł. Oto, co mi się tam wczoraj przydarzyło:

Środa to była niezwykła — zbiegł się właśnie skup żywe, wolnorynkowy przetarg na bydło i comiesięczny jarmark. Na targowisko i ja się wybrałem, rzecz to bowiem nie była jaka, przepuścić szkoda. Zakupiłem najrozmaitszych miejskich wiktuałów, położyłem, poogładałem co było do oglądania, poargowałem się z babami o jakieś gliniane naczynia, zresztą pięknie zdobione, których i tak nie miałem zamiaru kupić, a że umówiłem się uprzednio ze znajomymi, poszedłem do gospody. Siedzieli tam już przy jednym ze stolików dziadek Błażejczak z Jeleckim z Zahacia, siedział stary mój przyjaciel Basałyga z Pajeków z jakimś nieznajomym — mężczyzną o siennej twarzy sprzedawcy trumien i gajowy Szafraniec. Przysiadłem się i ja. Zjedliśmy obiad, gadamy o tym i o tym, tak, jak to zwykle bywa, gdy zbierzemy się razem, a że z otwieranych często drzwi ciągnęło nieco wilgoci, bo pogoda była trochę nieszczerliwa, więc na stoliku pojawiła się wkrótce butelczyna węglaśnej monopolówki, propozycja bojącego się reumatyzmu dziadka Błażejczaka, kieliszki, zakąska i rozmowa zeszła na tematy górnołotne. Trudno teraz byłoby przypomnieć sobie czego właściwie dotyczyła, bo po butelczynie dziadek Błażejczak zjawiał się druga, zamówiona przez Jeleckiego, jedno można by stwierdzić z całą dokładnością, rozmowa była interesująca. Tylko nieznajomy o twarzy trumniarza nudził się całkiem wyraźnie, zresztą jak że mogły go zająć rozważania o niezwykłości ludzkiego życia? Taka twarz mówi już sama za siebie. Ale gdy w pewnej chwili zwróciła moją uwagę grupa kobiet stojących niedaleko przy straganie, dobrze widoczna przez okno gospody, klócających się

zapomniany taniec „drabant” w strojach borowiackich, za co publiczność gorąco im dziękowała a wielu starszych ze wzruszenia nos wycierało. A jeszcze inne tańce jak „golorz”, „miotłorz”, „szewski” czekają na odtworzenie i włączenie do repertuaru zespołów tanecznych.

Oczywiście, nie wynika z tego, że występujemy za wyeliminowaniem obcych tańców i pieśni na naszym terenie. Z przyjemnością oglądaliśmy białołuski „Korowód dziewczęcy” w kilku eliminacjach powiatowych. Sensację wzbudził w Rawiczu ludowy taniec czeski w wykonaniu młodzieży z Ugod. Ciekawość naszą wzbudziły również ludowy taniec węgierski i każdy inny. Tym niemniej w programach naszych zespołów przeważać powinny wielkopolskie utwory i stroje.

Znów o „śladoch Kozła lubuskiego”

W dyskusjach na ten temat nauczycielstwo, które najwięcej serca i pracy wkłada w or-



ganizowanie życia świetlicowego, zwróciło uwagę na brak opracowań pieśni i tańca z naszego terenu. Polecieć już można dziełko J. i M. Sobieskich „Śladem Kozła lubuskiego” nakładem Państw. Wydawnictwa Muzycznego. W zbiorze tym znaleźliśmy wiele utworów obejmujących nie tylko region Zbąszyński, ale i centralne powiaty naszego województwa. Równocześnie zwracamy się do wydawców o przyspieszenie druku dalszych prac obu naszych poznawczych muzykologów — z zakresu pieśni i tańca. To, co zostało z tak wielkim trudem zebrane przez J. i M. Sobieskich, nie może tkwić w zapiskach i maszynopisach, ale winno wejść w życie — jako zrehabilitowana, zawsze piękna i wiecznie żywa twórczość ludu pracującego.

Podsumowując tegoroczne eliminacje powiatowe trzeba stwierdzić, że mimo omówionych już usterek zespoły pokazały znacznie wyższy poziom od poziomu z lat minionych. Nie było już dziewcząt w przebraniach chłopców, a sami chłopcy wykazali, że w tańcu mogą śmiało dorównać dziewczętom. (Przykład Bucza, Ugody, Konina, Kościana, Wągrowca.) Do pełnego korowodu tańca i pieśni włączyli się i starsi. Przeszło 70-letni chłopci popielali się wiewatami na „Weselu Zakrzewskim”. W zespole tanecznym z Międzyzdrojów (pow. Sreń) tańczył jeden ze starszych obywateli, znajdujący się „pod 60-tką”!

Autobiografia olbrzyma

(Dokończenie ze str. 1)

wymy masami ludzkimi, dając w swym buntowniczym „Obłoku w spodniach” lub „Człowieku” dokonywał rewolucji nie tylko na ziemi, ale w kosmosie całym, dlaczego wreszcie on właśnie wziął na siebie rolę nowego Danta, oprowadzającego nas w „heroiczno-komiczny widok naszej epoki” — „Misterium-buffo” po współczesnym piekle, czyści i raj. Gdy się czyta Majakowskiego, przypominają się Mickiewiczowskie: „Jam milion, bo za miliony...” A także znane powiedzenie Goethego, że pisarz, który nie czuje w sobie pragnienia, by pisać dla milionów, powinien w ogóle zaniechać pisania.

Majakowski mawiał o sobie, że wskrzesił czasy trubadurów i minstrelów. Miał na myśli swoje nieprzerwane wędrowki po miastach swej wielkiej ojczyzny, miał na myśli swoje częste podróże zagranicę, do Europy i obydwóch Ameryk — gdzie jak owi dawni wędrowni poeci, i on przemawiał wierszami bezpośrednio do tłumów. Bardziej jednak niż trubadurem — piewca miłości, był niewątpliwie poeta bohaterstwa, minstrelem, obiecywającym boje i zwycięstwa twórcom pierwszej ojczyzny proletariatu. Ale zarówno w swoich poematach bohaterstwa, takich jak „Włodzimierz Iljicz Lenin” i „Dobrze”, jak i w strofach, które poświęcił miłości w „Kocham” i „O tym”, lub w licznych wierszach — przede wszystkim był poetą, wyolbrzymiającym czło-wieka i świat, nadającym naszej rzeczywistości formy monumentalne. Takie formy odnajdujemy tylko w dziełach narodowych literatury światowej — eposach, sagach, legendach i to właśnie pokrewieństwo tak nas porusza i upaja w twórczości Majakowskiego. A przy tym, najbardziej nawet „epickie” opisy Majakowskiego są pełne najgłębszego liryzmu. Jego romantyzm rewolucyjny stopił bowiem z sobą nierozłącznie te dwa rodzaje, które przez teorię literatury traktowane były dotąd zawsze jako przeciwieństwa — w tym kryje się

jeszcze jedna podstawowa właściwość przewrotu poetyckiego, którego dokonał autor „Do brze”.

Nie znaczy to bynajmniej, by poezja ta narodziła się od razu jak Atena z głowy Zeusa. Majakowski z wysiłkiem, z trudem wywalał się z dziedzictwa poezji schyłkowej, jaką zastał. Zanim poszedł śladami wielkich poetów przeszłości rosyjskiej, takich jak Dzierżawin, Puszkina, Niekrasowa, i wprowadził do poezji język potoczny, musiał zwalczyć pokusy estetyzmu. A jednak dzięki swej najściślejszej łączności z rewolucyjnym proletariatem i z życiem swego kraju, dokonał ostatecznie przemiany tak olbrzymiej w słownictwie, składni i metryce poezji jak nikt przed nim. Jesteśmy zaledwie u progu poznawania tajemnic tej całkowicie nowej twórczości, i może dlatego tłumacze Majakowskiego mają w sobie często, choć coś z literackich Kolumbów: ich poetyckie wyprawy kończą się niekiedy odkryciem zupełnie innych łądów niż te, które zamierzali odkryć.

Kluczem jednak najbardziej niezawodnym do zrozumienia poezji Majakowskiego jest świadomość — że we wszystkich, co napisał, był przede wszystkim genialnym lirikiem. W wielkim „JA” poety, jak tęcza w kropli wody, odbijają się codzienne sprawy ludzkie — i dlatego niezmiernie rzadsze czytelników Majakowskiego, poznając zawarte w jego twórczości tajemnicze życie poety, zaczynają rozumieć równocześnie ukryty sens i piękno swego własnego życia. Twórczość bowiem wielkiego pisarza radzieckiego nie jest w końcu niczym innym jak pa-miętnikiem lirycznym poety, dla którego jego osoba stanowiła nierozłączną całość z jego krajem i jego narodem. Przeżywając i opisując dzieje, cierpienia, rewolucję, klęski i zwycięstwa swego narodu, Majakowski przeżywał i opisywał swoje własne dzieje: swoje własne cierpienia, bunt, klęski i zwycięstwa. Twórczość jego — to autobiografia poetycka olbrzyma.

ANATOL STERN

O POŻYTKU ŚMIECHU

Wl. Odojewski

o coś, rzekł niskim z lekka upiornym głosem:

— To ludzie z Lipin. — Głos wspaniale harmonizował z twarzą właściciela. Zaprzęgałem jeszcze raz go usłyszeć.

— Acha... — mruknąłem. Ciekawym, o co się kłóca? — Nie wszyscy z Lipin — rzekł ze znanstwem. — Te trzy kobiety z boku, to z Mszara, a ta jedna, co teraz podchodzi, to z Pajeków...

— Acha... — Mój pomruk był teraz pełen zadziwienia i ukrytego podziwu. — Świetnie znacie teren... — Patrzyłem w dalszym ciągu przez okno, a że jegomoście zainteresował mnie nagle, podtrzymałem rozmowę: — Prawie cały powiat dziś tutaj ściągają. Ja wprawdzie trochę tutejszych znam, ale przy takim zjeździe i ścisłości trudno się rozeznaczyć.

— Pewnie, pewnie... — odrzekł nieznajomy.

Obserwowałem uważnie rynek, myśląc o co to go jeszcze zapytać. Spostrzegłem znajome kobiety z Zahacia. Stały przy straganach, gdzie sprzedawano „manufaktury”, czyli — jak tu zwą — towary na płaszczki i ubrania. Zapytałem podchwytliwie, wskazując ręką:

— Ci ludzie skąd? Znaćcie może?

— A, to zahackie baby — odparł skwapliwie głosem nie mniej grobowym niż uprzednio, jednak z wyraźnym już brzmieniem nutką zadowolenia. Widać wzbudziłem w nim zaufanie. Przedtem nikt się nim przy stoliku nie zajmował, dopiero ja pierwszy zrobiłem ten wyłom. Nachylił się, i wskazując na rynek, zaczął mi objaśniać:

— Te przy straganach niedaleko apteki, to z Kamionki, a tam trochę dalej, widzicie, te pięć kobiet z dziećmi, to z Ejszyszek. Jedną miedzy nimi, taka wysoka i chuda, widzicie, to z Rudzka...

Tu niezbyt w porę zagadnął nas Jelecki i rozmowa z coraz bardziej interesującym mnie nieznajomym, urwała się. Umilkł, a przy stoliku

wywiązała się dłuższa debata o tegorocznym jesiennym spławie, który już chyba nie potrwa długo, gdyż wszystkie oznaki na niebie i ziemi wskazują na wczesną zimę. Niezupełnie zgadzałem się ze zdaniem starych znawców pogody: Błażejczaka i Szafrana, bowiem dni z małymi wyjątkami były ciepłe, tak że nawet kobiety nosiły jeszcze lekkie suknie — skądżebyż zraz jakieg oznaki na niebie i ziemi o wczesnej zimie?

Gdy temat został obgadany, a ja przekonany, stwierdziłem, że jest już dość późno, jarmark kończy się i trzeba wracać. Wychoząc z gospody przysunąłem się do osobnika o grobowym głosie. Chciałem utrwalić w jakiś sposób naszą znajomość, a nie wiedząc jak to zrobić, zapytałem:

— Tych ludzi wy znacie? — Wskazałem na stojące przed drogerią trzy młódki i mężczyźni. Ledwie spojrzał w tym kierunku.

— Z Przepiórczyna.

— Acha... To wy miejscowy?

jako dzielnych, „oblatanych” ludzi. Wszystko więc było zrozumiałe. — Od którego roku już tutaj siedzicie?

Znowu mi się przyjrzał, potem wzdrygnął ramionami. — Co znów „od którego roku”. Od trzech miesięcy! Ale długo tu nie wytrzymam... W takiej dziurze! Zaprowadzę porządki i wracam — wydał usta.

— To wy z Komitetu?

Uniósł brwi.

— Nie, skądżeby. Zaopatrze-niowiec jestem. Po linii pezetgeesów.

Przyglądał wątle włosy na czubku głowy i odchrząknął znacząco. Kroczyliśmy całą gromadką przez rynek. Każdy rozglądał się za swoją „okazją”. Wziąłem jegomościa pod ramię i mówię:

— Dwa miesiące tutaj siedzicie i już tak doskonale w teren wgryźliście się, ludzi znacie...

— O, nie trudnego — uśmiechnął się rozbrajająco szczerze i podobieństwo do trumniarza chwilowo zatario się. — Widzicie, ja zaopatruję geesy, więc po towary poznaję. Weźcie sobie za ten przykład takie Zahacie. Przydzieliłem im sukno białe w

late groszki. I tak każda gmina co innego. Każda inny towar po kilka wałów, żeby nie narzekali, że mało. Jak w jeden rok nie zużyją, to zostanie im na przyszły, najważniejsze, żeby było. Trzeba dbać o potrzeby świata pracy. — Zapalił się, lecz ja jeszcze nie dość wprowadzony w jego metodę rozpoznawania tutejszych przerwałem:

— No, dobrze, ale skąd wy znacie wszystkich ludzi z powiatu?

— A skądże znam?! Wcale nie znam, ale że na targowisku — zatoczył ręką wokół — głównie baby, a każda w sukni, więc poznaję po tych sukniach. Przecież mówiłem wam, że Zahacie dostało sukno białe w niebieskie paski, Kamionka — różowe sukno w kwiatki...

— Ach, prawda, prawda. Mówiliście! — rzuciłem, nagle osłupiały. — Świetnie, doprawdy świetnie! — zająknąłem się i dodałem śpiesznie: — No, to do widzenia, bo mnie jeszcze zostawia... — Pognałem za dziadkiem Błażejczakiem, który razem z Jeleckim wdrapywali się już na jakąś furmankę. Usadawiłem się obok nich i bez żadnych wstępów mówię:

— Wiedzie, skąd te baby? — Wskazałem na jadący obok wóz. — Z Lipin. A te? Wiedzie? — Wskazałem na idącą brzegiem ulicy grupkę. — Z Przepiórczyna. A tamte? — Wskazałem na stojące przed kościołem. — Z Rudzka. A... — Coście, powariowali?! — przeraził się dziadek Błażejczak.

— Ale tu Jelecki wziął mnie nagle w obronę. — Nie zwariował, prędko mu zresztą przejdzie. Na pewno przejdzie. Przecież on gadał z naszym zaopatrze-niowcem. Stąd to...

I wtedy dziadek, jakby za skinięciem różdżki czarodziej-skiej, rozchmurzył się natychmiast. Wszyszek trzech gruch-niasty ogromnym śmiechem. Widać stan ten jest zaraźliwy, gdyż nie biorący udziału w rozmowie w furmance także zachichotał. Ale taki śmiech to zdrowie, poza tym bywa zwykle zabój-czy dla tego, który dał do niego powód.



rys. H. Derwich

Spojrzał na mnie zdziwiony i jakby lekko urażony.

— Skądże! Z województwa mnie przysłali na terenową robotę.

Na terenową, mówicie. No, tak... — Terenowców znałem

niebłaskie paski. Kamionka dostała różowe sukno w kwiatki. Lipnie — pepitę popielato-czarną, Przepiórczyn — dużą kratę, Mszary — popielaty materiał w białe groszki. Dużo — biały materiał w popie-

„Nie chcemy być Kopciuszkiem“!

Jeśli ktoś przyjeżdżając zapyta poznaniaka o to, co warto w Poznaniu zwiedzić czy zobaczyć, otrzyma w odpowiedzi litanie zabytkowych budynków: Muzeum Narodowe i jego „filie“ w Ratuszu, Muzeum Prehistoryczne, Muzeum Starych Instrumentów — i na tym koniec. Mieszkaniec Warszawy czy Krakowa do podobnej listy doda jeszcze na pewno — pierwszy „Zachęta“, drugi — „Pałac Sztuki“. Czyżby Poznań rzeczywiście nie posiadał salonu wystawowego? Owszem ma, ale tak zakonserwowany, że nawet wielu rdzennych poznaniaków nie wie o jego istnieniu. To małe lokal Centralnego Biura Wystaw Artystycznych przy al. Marcinkowskiego, naprzeciw Poczty Głównej. Wchodzi się do niego przez podwórko i nowoprzybyłego uderzy przede wszystkim panujący w sali półmrok — mimo górnego oświetlenia. Rozmieszczenie obrazów przypomina raczej lamus niż wystawę. Obrazy wiszą w podwójnych rzędach i tak gęsto, że patrzącemu tróci się w oczach. Brak dystansu, oddechu i perspektywy dla należytej oceny obrazów i rzeźb.

Poza bieżącymi wystawami Oddziału Poznańskiego Związku Polskich Artystów Plastyków pokazuje się tu także wystawy dorożkowe oraz szeregi okrojonych, ze względu na brak miejsca, wystaw z innych ośrodków lub małe fragmenty wystaw ogólnopolskich.

Sam lokal związkowy przy placu Wolności 4 składa się z małej sali wystawowej, będącej właściwie dużym pokojem, opatrzonym szklanym sufitem, za którym mieści się odgrodzona przepierzeniem kłitka, siedziba administracji.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że z powodu braku odpowiedniego lokalu wystawowego poznaniacy pozbawieni zostali takich imprez, jak wspaniałe wystawy sztuki radzieckiej, hinduskiej, chińskiej, wystawy tkanin i malarstwa francuskiego itd. Wymieniam tylko parę wystaw oglądanych przez Warszawę i Kraków. Nie mogły one przybyć do Poznania, bo po prostu nie miały się gdzie podziać.

Na podstawie przykładów Warszawy czy Krakowa, widzimy, że ośrodki te potrafią rozbudzić u szerokich mas żywe zainteresowanie sztuką. Każde dziecko tych miast było tam niejednokrotnie — a ileż z dzieci poznańskich trafia do małej, ciemnej sali wystawowej? A przecież dzieci — to przyszli konsumenci sztuki, a niektóre z nich — to przyszli artyści. Ograniczając ich kontakt ze sztuką, zubożamy ich życie, przekreślamy jedną, jakże ważną, dziedzinę wychowawczą.

Spółeczeństwo poznańskie domaga się stanowczo odpowiedniego lokalu wystawowego. Dość prowizorium. Chce my oglądać ciekawe wystawy zagraniczne i ogólnokrajowe, nie chcemy być Kopciuszkiem w dziedzinie plastyki.

Na jednej z wystaw urbanistycznych w 1951 roku pokazano efektowny projekt inż. Cieślńskiego reprezentacyjnej zabudowy placu Wielkopolskiego, obejmujący budynek Centralnego Biura Wystaw Artystycznych. Dotychczas nie było słyhać o jego realizacji. Nasuwa się tu jeszcze inna sugestia: budynek Odwachu na Starym Rynku, jako duże pomieszczenie parterowe, położone w centralnym i reprezentacyjnym punkcie, również nadawałby się po małej przebudowie do tego celu. Jeszcze czas, a właściwie już ostatnie chwile, aby usunąć ten bolesny dla miasta brak i umożliwić plastyce godne wystąpienie w okresie Targów.

W. S.

Dwa układy sygnałów

Jednym z zagadnień, które dręczyło przez długie wieki niemal wszystkie religie świata (a które i naucz sprawiło wiele kłopotów), była kwestia, czy zwierzęta mają duszę.

Teologie na ogół wydawały wyrok bezapelacyjny: zwierzęta duszy nie mają, w swym zachowaniu kierują się „ślepy“ instynkt.

Nauka nie była tak apodyktyczna w swych sądach. Także zwierzętom przyznała wiedzę współczesna „prawo do duszy“. (Rzecz zrozumiała w znaczeniu psychologicznym tego słowa, a nie metafizycznym.)

Jak w wielu innych, tak i w tym wypadku racja jest po stronie nauki.

Trudno oczywiście mówić o doznawaniu uczuć i myśleniu zwierzęcia, wymoczką, amebą — istot o niesłychanie prymitywnym jeszcze układzie „nerwowym“. Jednak gdy mamy do czynienia ze zwierzętami znajdującymi się na wyższym szczeblu rozwoju — sprawa przedstawia się już całkiem inaczej.

Jeszcze w końcu XIX wieku jeden z uczonych przeprowadzał doświadczenie z sympansem, które stało się wielokrotnie powtarzanym niemal we wszystkich podręcznikach psychologii (bo też nader przekonywającym) przykładem wysokiej inteligencji tych zwierząt. Sympanas dowiódł w tym doświadczeniu, że notrafi celowo posługując się narzędziami. Aby doświadczyć zawiązaną u szczytu kłaki wiązki bananów, zbudował on sobie z luźno rozrzuconych skrzynek wieżę, na której się wdrapał i w ten sposób zdobył upragnione owoce.

Że zwierzęta myślą — udowodnił także niezłomny Pawłow w toku swych badań nad odruchem warunkowym.

A jednak między światem odruchów, reakcji psychicznych zwierząt, nawet najinteligentniejszego wśród wszystkich zwierząt, a psychiką człowieka istnieje zasadnicza, jakościowa różnica.

Myślenie w działaniu

Działalność układu nerwowego polega z jednej strony na łączeniu i integracji pracy wszystkich części organizmu. Są to niższe czynności układu nerwowego. Z drugiej zaś — na wytwarzaniu związków między organizmem a otoczeniem i utrzymywaniem równowagi między organizmem a warunkami zewnętrznymi. Są to wyższe czynności nerwowe. Psychologia nazywa te wyższe czynności nerwowe także zachowaniem się zwierzęcia i człowieka, czynnościami psychicznymi.

Podstawowym mechanizmem wyższych czynności nerwowych, zarówno zwierząt jak i człowieka jest odruch warunkowy. Zakres myślenia rodzący się w wyniku powstawania wielkiej ilości odruchów warunkowych jest jednak u zwierzęcia nader wąski. W mózgu zwierzęcia świat zewnętrzny odzwierciedla się jedynie bezpośrednio. Zwierzę nie jest zdolne do abstrakcji. Oznacza to, że zwierzę potrafi jedynie wyodrębnić z otaczającego świata poszczególne przedmioty, potrafi je poznać, ale nie wychodzi poza granicę dobrego orientowania się w otaczającym.

Wielka rocznica filmowej taśmy

W całej Francji przygotowuje się uroczystości obchodu sześćdziesięciolecia kinematografii. Jako pierwszy publiczny seans filmowy świata przyjęło się datę 28 grudnia 1895 roku. Tego dnia w Paryżu bracia Lumière demonstrowali swe krótkometrażowe filmy. Żaden z nich nie był wyświetlany dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Ze względu na niespodziewany sukces „ruchomych obrazów“ odbyło się tego dnia 35 seansów — ilość nigdy później nie przekroczona.

Główne uroczystości odbędą się w Lyonie, gdzie kinematograf został wynaleziony przez braci Ludwika i Augusta Lumière'ów oraz w Paryżu. Przewiduje się retrospektywne pokazy wszystkich filmów znajdujących się w filmotece paryskiej wraz z jedyinymi na świecie kopiami filmów francuskich i angielskich wykupionych i zniszczonych przez Amerykanów, którzy na podstawie tych archiwaliów zrealizowali daleko gorsze filmy. Do tych zniszczonych archiwaliów należał film Marcela Carné „Le jour se lève“, film „Pépé le Mo“ Juliana Duviviera jeszcze raz zrealizowany w Ameryce pt. „Algiers“, angielski film „Gaslight“ Thorolda Dicksona zniszczony przez Amerykanów i na kręcony pod tytułem „Morderstwo przy Thornton Square“. Dalszemu zniszczeniu przez Amerykanów uległy taśmy filmów „Carrefour“ (wersja amerykańska „Crossroads“), „Mort du cygne“ (wersja amerykańska „Unfinished dance“), wreszcie „Battement du coeur“ (wersja amerykańska „Heartbeat“).

cych go warunkach, pozwalającego mu na przystosowanie się do nich.

Takie myślenie polegające na bezpośrednim odbiciu zjawisk i przedmiotów obiektywnej rzeczywistości działającej na narządy zmysłów, myślenie charakterystyczne dla zwierząt — Pawłow nazwał reakcją na pierwszy układ sygnałów. Jest to myślenie konkretne, myślenie w działaniu.

W procesie myślenia człowieka występują natomiast jeszcze inne czynniki, jakościowo różne.

Sygnały sygnałów

Marks stwierdził, że „życie myśli przejawia się w języku“. Może ono istnieć i rozwijać się jedynie na bazie materiału językowego.

Zdolność myślenia ludzkiego związana jest z wysokim stopniem rozwoju mózgu. (Z rozwojem płatów czołowych.) Myśl ludzka jest jednocześnie wytworem rozwoju społecznego. Myślenie ludzkie uwarunkowane jest społecznie, powstało bowiem w wyniku i na podstawie społecznej, produkcyjnej działalności człowieka, ludzkich form współżycia. Polega ono na uogólnieniu za pomocą słów, pojęć — odbicia rzeczywistości, sygnałów rzeczywistości. Człowiek potrafi poznać i odzwierciedlać w swej świadomości fakty, bodźce, zjawiska znajdujące się poza zasięgiem jego zmysłów jedynie dzięki odbiorowi sygnałów słownych.

Pawłow uzasadnia ten fakt następująco:

„W rozwijającym się świecie zwierzęcy, na szczeblu człowieka mechanizm czynności nerwowych otrzymał nadzwyczajne uzupełnienie. Dla zwierzęcia sygnałami świata rzeczywistego są prawie wyłącznie podrażnienia i ich ślady w półkulach mózgowych, dochodzące bezpośrednio do specjalnych komórek wzrokowych, słuchowych i innych receptorów organizmu. Wszystko to i my mamy jako wrażenia, uczucia, postrzeżenia. Jest to pierwszy system sygnalizujący rzeczywistość, wspólny nam i zwierzętom. Słowo zaś stanowi drugi, specjalnie nasz system sygnalizujący rzeczywistość, będący sygnałem pierwszych sygnałów. Słowo zrobiło nas ludźmi.“

Drugi układ sygnałów: mowa, słowo — jest bodźcem równie materialnym jak bodźce działające na pierwszy układ sygnałów. Ale jest systemem znacznie ogólniejszym i wyłączone między innymi. Mowa stanowi z kolei fizjologiczną podstawę abstrakcyjnego, posługującego się odrębnymi pojęciami myślenia ludzkiego, stając się środkiem aktywnego oddziaływania na świat zewnętrzny.

Mowa ludzka, ludzkie myślenie pojęciowe tworzy się na podłożu pierwszego układu sygnałów. Abstrakcja wyrasta w oparciu o wrażenia zmysłowe.

Podkreślimy dla ścisłości, że zwierzęta także mogą zrozumieć pewne słowa nawet pewne zespoły słów, w wypadku, gdy wytworzy się w ich mózgu odpowiednie połączenie, odruch warunkowy. Ale na zwierzęta słowo działa poprzez swą formę czwinkową, a nie treść. U zwierzęcia nigdy nie udało się wytworzyć odruchu warunkowego

bez pomocy bodźca naturalnego, powodującego odruch bezwarunkowy. U zwierzęcia nigdy nie występuje proces oderwania się słowa od konkretnego bodźca, od konkretnego przedmiotu.

Przykładowo biorąc: zwierzę uskończy, o ile ujrzy walące się drzewo lub usłyszy podejrząny trzask. Tak samo postąpi również w identycznej sytuacji człowiek. Ale uskończy on także nawet wówczas, gdy nie nie spostrzeże, lecz usłyszy okrzyk: „Drzewo się wali“, lub: „Uciekaj, niebezpieczeństwo!“.

Uzupełnienie teorii ewolucji

Pawłow udowodnił, że działalność psychiczna jest rezultatem fizjologicznych czynności określonej masy mózgu, że „dusza“, zjawiska psychologiczne — to fizjologiczna reakcja komórek mózgowych na zespoły bodźców.

Dokonał on przejścia od starej fizjologii analitycznej do nowej — syntetycznej, stworzył zwartą teorię.

Nie na tym jednak polega wyłącznie jego zasługa.

Nauka Pawłowa jest kontynuacją a jednocześnie rozwinięciem i uzupełnieniem teorii ewolucji. Pawłow bowiem wyjaśnił mechanizm zależności między organizmem a środowiskiem, wyjaśnił mechanizm procesu przystosowywania się istot żywych do wymogów środowiska w wyniku działalności ich układu nerwowego.

Jego teoria jest jednym z najważniejszych odkryć, potwierdzających prawdę materialistycznego, naukowego poglądu na świat.

T. JĘDRZEJEWSKI

Kilka uwag o „Opowieściach leskich“

Przemysław Bystrzycki

Nie potrafię odpowiedzieć czy autor bawił w Małopolsce kiedykolwiek i czy osobiście zapoznał się z topografią wydawnictwa leskich; czy rozmawiał z ludźmi, czy oglądał miejsca koncentracji, bitew i potyczek. Z lekkim sercem możemy zrezygnować ze stawiania podobnych pytań. Zrezygnować? Tak, ponieważ debiut W. Odojewskiego „Opowieści leskie“ potrafią być jak zjawisko literackie, a więc jako fakt społeczny, zdolny sam przez się do obronienia swojej racji pod warunkiem, że uzyska aprobatę wiary czytelnika.

„Opowieści“ przenoszą nas w sferę historycznych zdarzeń. Postulat zatem dodatkowej wierności: wierności z dokumentem historycznym, z realiami obyczajowymi, topograficznymi jest nieodzowny.

Mówią — książka ma błądy. Ludwik Grzeniewski w jednym z marcowych numerów „Po prostu“ wytoczył filipikę, która nie tyle dezawuuje Odojewskiego, ile jest dowodem złego smaku i zarozumiałstwa recenzenta. Błędy debiutu są jak cień w słoneczny dzień. W niniejszym króciutkim sprawozdaniu nie idzie o ich wykaz systematyczny, z tej choćby przyczyny, że charakter tych błędów jest dosyć specjalny, warsztatowy. Być może, że przy innej okazji uda się temu zagadnieniu więcej miejsca poświęcić. Chciałbym tylko poruszyć trzy sprawy, które mnie jako czytelnika nie zadowalają.

Po pierwsze: koncepcja całości. Chwalono w prasie poznańskiej opowiadanie „Wiatraki“ jako słuszny akcent końcowy w zamierzeniu całości. Jest to jedyny utwór zbioru, którego akcja rozgrywa się w Wielkopolsce. Nie znajduję uzasadnienia dla takiego stawiania sprawy. Zamiar pokazania solidarności klasowej chłopów naszego województwa z walką ludności Zachodniej Ukrainy, przeciwko ekonomiczno-mniejszościowej polityce sanacji jest słusznym względem politycznym, ale w artystycznym kształcie dzieła Odojewskiego nie znajduje dostatecznego uzasadnienia. Stąd „Wiatraki“ są „tylko dezynwolturą kompozycyjną“.

Po drugie: Motywy powstania. Znamy ogólnie: nożyce cen, eksterminacja ludności ukraińskiej, społeczno-ekonomiczne zacofanie rejonu. Autor rezygnu-



NIEDŹWIEDŹ W ROLI TRESERA

Dzieci Moskwy chętnie odwiedzają ośrodek naukowo-oświatowy im. Durowa, w którym kontynuują się prace badawcze nad przyzwyczajeniami i zachowaniem się zwierząt, rozpoczęte przez W. Durowa. W ośrodku znajduje się także osobliwy „teatr zwierzęcy“, ogromna atrakcja dla dzieci. Na zdjęciu niedźwiedź „Potap“ i pies „Alma“ w czasie popisów.

Fot — CAF

Przemysław Bystrzycki

Je jednak z pokazania konkretnych, aktualnych powodów wystąpienia. Bo przecież nie odkopywanie dawnych akt pańszczyżnianych, ani drobne nieporozumienia z dziedzicem pchnęły chłopów do ujęcia za obrzynki i widły.

Po trzecie: Sprawa języka Odojewskiego. Jest to zagadnienie złożone. W tradycji zbliżony bardziej do Turgeniewa, może do Paustowskiego, ulega, jak się wydaje, tendencji tamtej prozy: obfite krajobrazy, specjalna ich funkcja w tkance opowiadań — nastrojowa raczej niż akcyjna. Ale nie o tym chciałem mówić, bo sprawa struktury to rezultaty temperamentu i sposobu widzenia świata, a nie uchybienia. Sądzę za to, że język młodego autora w dążeniu do konkretności i jednoznaczności, do wewnętrznej harmonii i logiki zdania, obarcza się nadmiernym sztafażem szczegółów. Istotne i pozytywne dla książki, że szczegółów potrzebnych, również istotne ale mniej pozytywne, że język tak obciążony jest „widzialny“, przejść przez tę warstwę trzeba z uwagą, na wet z wysiłkiem. Cenię prozę (Nałkowska, Prus), która nie wiadomo jak wchodzi do głowy i od razu operuje obrazem.

Oto pokrótce niektóre cienie debiutu. Pod jakim słońcem padły te cienie. Pod słońcem talentu i dużej ambicji. Do tego jeszcze powrócę. „Opowieści leskie“ obejmują siedem opowiadań. Które wyróżnić? Czy ciekawie zbudowanego „Politycznego“: kilkunastominutowa scena w celi więziennej, gdzie autor zresztą ukazuje spory szmat życia bohatera, czy wstępny „Brzeg“, na mój gust nieco za długi, zwłaszcza w pierwszych partiach, a może „Wzgórze 511“. Głosuję za „Pułapką“. Wstrząsa ona nie tylko wymową losu ludzkiego, przejmującą i tragiczną w finale, ale zadziwia jasną myślą przewodnią, słowem, jest świadectwem dobrej roboty.

Odojewski w „Opowieściach leskich“ nie uległ pokusom epickim. Poprzestał na oprowadzeniu kilku krzyżujących się wątków osobistych. W wybranych losach zamknął tragiczną prawdę ludzi, dla których walka o lepsze życie, nieprzemysłana do końca, a więc spontaniczna i żywiołowa, musiała się skończyć tragicznie, bo takie są prawa historii. Kto zwinął,

że w tamtych warunkach powstanie nie mogło się udać? Ludzie przecież byli. Raporty policji mówią, że „rządowi“ dla stłumienia rebelii zgromadzić musieli siły przewyższające potrzeby tak częstych niepokojów w latach pokrzyśowskich. Odojewski główną przyczynę klęski upatrjuje w niedostatecznym przygotowaniu ideowym mas i w braku sojuszu robotniczo - chłopskiego. Prawda ta nie jest nadzwyczajną mądrością autorską, wzmianą czytelnikowi na siłę. Wynika z obserwacji dziejów poszczególnych faz ruchu, przegląda się jak w zwierciadle w dolach i niedolach tamtych ludzi. Obiektywne i wymowa książki nie ilustruje, ale artystycznie potwierdza słusność tezy rewolucyjnej o potrzebie takiego sojuszu.

Któż z bohaterów książki doświadcza jej najboleśniej?

Kłos występujący w opowiadaniu „Wilki“. Dzieje moralne i fizycznego rozpadu grupy bojowej — to zagażenie niezwykłe trudne. „Wilki“ obrazują historię takiej degrengolady w sposób może niepełny, oparty głównie na obserwacji zachowań, a nie przeżyć. Tym nie mniej ciśnień problemu jest tak duże, że pobudza wyobraźnię czytelnika i każe domyślać się rzeczy niedomówionych. Stajemy przed polityczną i równocześnie najbardziej ludzką tragedią: przed losem zaginionych wśród lasu nosicieli klęski, oderwanych od zaplecza i pozbawionych z powodu własnej słabości możliwości nowego kontaktu z nieprzyjacielem. Oddział, dla którego zgasa nadzieja sensownej walki, a pozostała troska o własne bezpieczeństwo, wyradza się zwykłe w bandę. W oddziale Kłosa kryzys przechodzi po prostu: część ucieka cichaczem do domu, część rozchodzi się myśląc, że jeszcze nie wszystko skończono. Dowódca skazany na samotność umiera od ran zaszczytu przez „granatowych“.

„Opowieści leskie“ Odojewskiego są linią pisarskiego startu. Cóż jako debiut zapowiadają? Bez prorocत्व i nabierania są dowodem talentu. Są dowodem dużej ambicji, odpowiedzialności i stałej uporczywej pracy nad sobą. Te przesłanki pozwalają przypuszczać, że poznańskie środowisko literackie w młodym prozaiku otrzymało twórcę, dla którego żadne progi literatury nie będą za wysokie.

